

Darfur - kronika wynegocjowanego ludobójstwa

Wskutek krwawej wojny w Darfurze prezydent Sudanu, Omar El Baszir, pod koniec stycznia 2007 r. utracił szanse na prezydenturę Unii Afrykańskiej. Organizacja ta, pomijając jej znaczenie symboliczne, okazuje się równie jak ONZ niezdolna do powstrzymania konfliktu, który doprowadził już do śmierci 400 tysięcy osób. Tak naprawdę za wszelkimi działaniami podejmowanymi w związku z tą sprawą kryją się interesy polityczno-naftowe, wobec których życie ludzkie zdecydowanie traci na znaczeniu.

Od 2003 r. z Darfuru (północno-zachodni Sudan) uciekły dwa miliony ludzi, a tylko od sierpnia 2006 r. - już 250 tysięcy. [1] Ta ogromna fala uchodźców (250 tysięcy osób) wywołała destabilizację w sąsiadującym z Sudanem Czadzie. W ciągu czterech lat konfliktu zginęło 400 tysięcy ludzi. Misje humanitarne wysyłane przez ONZ i organizacje pozarządowe musiały trzydzieści jeden razy zmieniać lokalizację, chroniąc się przed atakami. A i tak, pomimo tych środków ostrożności, 19 stycznia sudańska policja zaatakowała obóz koło Nyala, pochwycała wielu ochotników i biła ich kolbami strzelb. W sumie dwunastu pracowników organizacji humanitarnych zostało zabitych, a pięciu innych zaginęło.

Chartum, usprawiedliwiając często przeprowadzane bombardowania z powietrza, twierdzi, że ma do czynienia z rebeliantami - odmówili przecież podpisania „pokoju” w nigeryjskiej Abudży, 5 maja 2006 r. [2] Naprawdę jednak chodzi o to, że rząd sudański nie chce pozwolić, by jego przeciwnicy zawarli porozumienie, zjednoczyli działania i wspólnie przystąpili do negocjacji mając za sobą „wspólnotę międzynarodową”. [3]

ONZ i Unia Afrykańska podejmują przede wszystkim działania symboliczne i grają na zwłokę. Od dwóch lat w Darfurze stacjonuje Misja Afrykańska w Sudanie (African Mission in Sudan, AMIS). Są to międzynarodowe afrykańskie siły zbrojne liczące 7 500 ludzi, składające się z kontyngentów z dwunastu państw afrykańskich (przede wszystkim z Rwandy i z Nigerii). Misja okazała się całkowicie nieskuteczna. Zresztą jej liczebność również nie jest imponująca - by obstać 500 tysięcy kilometrów kwadratowych Darfuru, potrzeba sześć razy więcej żołnierzy.

Poza tym AMIS jest źle uzbrojona i wyposażona, a jej uprawnienia są drastycznie ograniczone – żołnierze nie mają prawa organizować patroli zaczepnych, mogą jedynie „negocjować”, co de facto sprowadza się do zbierania danych liczbowych na temat ofiar. Ponadto siłom międzynarodowym brakuje woli działania i politycznego zdecydowania, by położyć kres masakrom, których Unia Afrykańska i ONZ wciąż uparcie nie chcą nazywać „ludobójstwem”. Żołnierze afrykańscy, zrezygnowani i rozczarowani, sami mówią nieoficjalnie: „Nie jesteśmy tu do niczego potrzebni”.

AMIS jest niemal w całości finansowana przez Unię Europejską (i w bardzo niewielkim stopniu przez Stany Zjednoczone). Wobec całkowitego braku efektów ONZ zdecydowała 31 sierpnia 2006 r. wprowadzić do Darfuru siły interwencyjne. Jednak rezolucji nr 1706 nigdy nawet nie zaczęto wprowadzać w życie – rząd Sudanu się jej sprzeciwia, a jego zgoda jest konieczna. Kolejni dyplomaci z różnych krajów odwiedzali Chartum, próbując wpłynąć na zmianę postawy prezydenta Omara El Baszira. Ten jednak wysuwa dość zaskakujące obiekcje – oskarża ONZ, że dąży do „rekolonizacji Sudanu”, a przysłane przez nią siły wojskowe są jedynie „przykrywką” wykorzystaną przez Zachód, w celu „przejęcia sudańskiej ropy” [4]. Mówił też o AIDS „importowanym do kraju przez siły międzynarodowe” [5] i zagroził wysłaniem przeciw siłom pokojowym „jednostek specjalnych wykonujących zamachy samobójcze, jak w Iraku.”

Prawda ma jednak raczej niewiele wspólnego z tymi fantastycznymi „uzasadnieniami”. Jan Pronk, były specjalny wysłannik sekretarza generalnego ONZ Kofi Annana w Sudanie, wyrzucony z kraju przez sudańskie władze w listopadzie za to, że publicznie napomknął o porażkach armii sudańskiej, na swoim blogu pisze wprost: „Osoby na najwyższych stanowiskach w rządzie sudańskim niejednokrotnie mówiły mi, że przeanalizowały ryzyko, jakie przedstawia dla nich zastosowanie się do zaleceń Rady Bezpieczeństwa, i porównały je z ryzykiem, jakie niesie ze sobą odmowa. Nie posłuchać – to ryzyko konfrontacji ze wspólnotą międzynarodową. Ale z kolei posłuchać – to pozwolić, by opozycja wewnętrzna rosła w siłę, a może nawet przejęła władzę. Powiedzieli, że porównali te zagrożenia i doszli do wniosku, że te, które wynikłyby z posłuchania są o wiele większe, niż te, które wynikłyby z odmowy.” Na koniec Pronk dodaje: „I mieli rację”.

Władza sudańska obawia się, że Błękitne Hełmy będą działać jako militarne ramie międzynarodowego Trybunału Karnego, o którym wiadomo, że od dwóch lat

dysponuje listą nazwisk zbrodniarzy wojennych sporządzoną przez ONZ. Lista ta co prawda nigdy nie została podana do wiadomości publicznej, ale można przypuszczać, że figuruje na niej kilku wysoko postawionych polityków sudańskich, w tym być może sam prezydent Baszir. Gdyby wszczęto działania przeciwko nim, stanowiłoby to solidne wsparcie dla opozycji politycznej... Muzułmańskim hierarchom w Chartumie ukazał się duch Slobodana Miloševića.

[5]

Władze Sudanu z jednej strony wciąż odmawiają wpuszczenia wojsk ONZ, z drugiej zaś zachęcają „wspólnotę międzynarodową” do finansowania AMIS. Po prostu dlatego, że jej obecność w Sudanie nie przynosiła żadnych skutków. Ten „układ” jest przejawem wyrachowanej obustronnej hipokryzji, gdyż Europejczycy i Amerykanie doskonale zdają sobie sprawę z nieskuteczności działań armii afrykańskiej, choć udają, że o tym nie wiedzą. To tylko puste gesty, które służą, by sprawiać wrażenie, że prowadzone są energiczne działania. Wielka Brytania ogłosiła 23 stycznia, że przyznaje dodatkowo 15 milionów funtów AMIS, podczas gdy brytyjska dyplomacja w nieoficjalnych rozmowach deklaruje, że niczego nie można się po nich spodziewać w kwestii ochrony cywilów przed nadużyciami dżandżawidów (patrz ramka) w Darfurze.

Sprawy utknęły w martwym punkcie. ONZ wpadło jednak na nowy pomysł utworzenia sił połączonych. Skoro Chartum nie zgadza się na wkroczenie sił ONZ, ale akceptuje wojska afrykańskie, może więc zgodziłby się na siły afrykańsko-ONZ-owskie? O co tak naprawdę by chodziło? O przydzielenie do AMIS 103 oficerów policji i dwudziestu urzędników wysłanych przez Nowy Jork! W kuluarach ONZ i Unii Afrykańskiej stwarzano pozory rzetelnej dyskusji na temat rzeczywistych i potencjalnych możliwości tych „połączonych sił”. Można się poważnie obawiać, że władze muzulmańskie w końcu zgodzą się na tę propozycję, traktując ją jako poważne ustępstwo, a jednocześnie wiedząc doskonale, że jest to jedynie kolejny pusty gest.

Co więc jest przyczyną tak tchórzliwej postawy „wspólnoty międzynarodowej”? Wynika ona przede wszystkim ze stanowiska USA, które łączy fałszywą przebiegłość, podwójną grę i - kiepsko markowaną hałaśliwą butą - bezsilność. Po 11 września 2001 r. Waszyngton uznał, że Chartum „poprawił się”, przyłączając się do walki antyterrorystycznej. Tajne służby wprowadziły po prostu coś w rodzaju skeczu „dobry glina, zły glina”, w którym Nafi Ali Nafi, były minister spraw wewnętrznych i doradca prezydenta Baszira gra tego złego, a jego

zastępca, Salah Abdallah „Gosz” - dobrego. Nafi Ali Nafi uchodzi więc za ekstremistę, zaś z „Goszem” - który przecież jest jednym z głównych organizatorów represji w Darfurze - CIA prowadzi rozmowy i przypisuje mu się rolę sprzymierzeńca w „wojnie z terrorem”.

Na razie faktyczne skutki tej kompromitującej współpracy wciąż dają na siebie czekać. Waszyngton w swoich oficjalnych deklaracjach pozostaje nieugięty, ale mimo nacisków politycznych sojuszników George’a Busha nie postępują za tym żadne konkretne działania. Np. republikański gubernator Arnold Schwarzenegger wprowadził prawo zobowiązujące kalifornijskie instytucje publiczne do sprzedania posiadanych udziałów w spółkach amerykańskich lub zagranicznych pracujących w Sudanie. Jednak ta polityka wycofywania inwestycji, która pozwoliła już obrońcom praw człowieka zmusić kanadyjski koncern naftowy Talisman do zaprzestania działalności w Sudanie w 2003 r., nie spotkała się z aprobatą Białego Domu. Przejawem tej amerykańskiej dwulicowości było zachowanie specjalnego wysłannika prezydenta Busha, byłego dyrektora USAID [6], Andrew Natsiosa, który pod koniec swojej misji zagroził prezydentowi Baszirowi wprowadzeniem tajemniczego „planu B”, w razie gdyby „plan A” (wprowadzenie wojsk ONZ) okazał się niemożliwy. Jednak nawet gdy został przyciśnięty do muru przez dziennikarzy, Natsios nie był w stanie powiedzieć nic bardziej precyzyjnego na temat owego „planu B”...

Bierność społeczności międzynarodowej w sprawie Darfuru leży w interesie Chin, które - choć nie jest to powszechnie wiadome - odgrywają dość istotną rolę na sudańskiej scenie geopolitycznej. Chartum jest ich drugim z kolei partnerem gospodarczym na czarnym lądzie - wartość wymiany handlowej między dwoma krajami wyniosła 2,9 miliarda dolarów w 2006 r. Pekin kupuje 65% sudańskiej ropy, a Chiny z kolei są pierwszym dostawcą broni dla reżimu Baszira. To właśnie z chińskich karabinów morduje się ludzi w Darfurze. Prezydent Hu Jintao, przybywszy z wizytą do Sudanu na początku lutego 2007 r., ograniczył się do rozmów o interesach i do zwiedzenia nowej tamy w Meroe (1,8 miliarda dolarów) sfinansowanej przez Pekin. I choć przy okazji „poradził” prezydentowi Baszirowi, by zgodził się na wkroczenie wojsk ONZ-owskich, zrobił to z tak wyraźnym brakiem przekonania, że jego sudański rozmówca miał święte prawo powiedzieć potem, że nie „czuł się pod żadnym naciskiem”. Jednocześnie Pekin domagał się fałszywie od ONZ, by mimo przyjęcia rezolucji 1706 „respektowała suwerenność Sudanu”.

Francja, daleko w tyle za Stanami Zjednoczonymi i Chinami, uwija się po cichu, chcąc przyjść z pomocą swoim klientom w regionie zagrożonym przez sudański reżim. Długo chroniła go przed „anglosaską” wrogością, ale bynajmniej nie zapewniła sobie tym wdzięczności ze strony władz Sudanu. Koncesje naftowe dla francuskiego koncernu Total Fina Elf w południowym Sudanie są wciąż blokowane za pomocą różnych wybiegów prawnych, zaś oddziały rządowej milicji ponawiają ataki przeciw sojusznikom Francji, do których poza Darfurem należą prezydent Czadu, Idris Deby i prezydent Republiki Środkowoafrykańskiej, François Bozizé.

Mimo swoich deklaracji Deby tak naprawdę wspiera darfurską partyzantkę, w której jest wielu przedstawicieli jego własnej grupy etnicznej, Zaghawa. Siły francuskie udzielają logistycznej pomocy armii Czadu, prowadzącej walkę z buntownikami wspieranymi z kolei przez Chartum. Te same siły włączyły się także w grudniu 2006 r. w walki na północy Republiki Środkowoafrykańskiej, prowadząc bombardowania i walki lądowe przeciw innej grupie buntowników – również wspieranych przez Chartum. Oprócz walk granicznych w grę wchodzi jak najbardziej interesy naftowe. Prezydent Czadu ma napięte stosunki z firmami amerykańskimi wydobywającymi w jego kraju czarne złoto, którym zagroził usunięciem. [7] A w kwietniu 2006 r. okazało się, że rebelianci, którzy dotarli aż do przedmieść Ndżameny, uzbrojeni byli w broń pochodzącą z Chin. Czyżby Pekin dążył do obalenia legalnych władz w środkowej Afryce? [8]

ONZ mówi o „czystce etnicznej” w Darfurze, ale podobnie jak Unia Afrykańska unika terminu „ludobójstwo”. Różne argumenty przywołuje się, by uzasadnić tę ostrożność w doborze słów. Przede wszystkim szuka się przyczyn konfliktu w micie o „starciach plemiennych” – w związku z pogorszeniem się warunków klimatycznych w regionie Sahelu arabskie wędrownie plemiona pasterskie przywędrowały na te tereny i wdały się w konflikt o dostęp do pastwisk z czarnoskórymi plemionami osiadłymi. Jak wszystkie stereotypy, tak i ten zawiera ziarno prawdy. Jednocześnie jednak pozostaje w sprzeczności z wieloma faktami.

Po pierwsze, bombardowania z powietrza zdecydowanie niewiele mają wspólnego z metodami walki tradycyjnych pasterskich plemion koczowniczych. Po drugie, džandżawidzi są uzbrojeni i wyposażeni przez regularną armię, która zresztą często walczy razem z nimi. Po trzecie, w połowie grudnia główna arabska grupa etniczna Darfuru, Baggara, stworzyła własną partyzantkę, wyrażając swój protest wobec nędzy ludności i obojętności „arabskich” władz z Chartumu. [9] Wreszcie po czwarte, trudno uznać nieustanne ataki oddziałów milicji na plemiona czarno-

afrykańskie za zbrojny wyraz plemiennych roszczeń koczowników arabskich. W milicji tej znajdują się raczej grupy recydywistów najróżniejszego pochodzenia etnicznego, którzy uzyskali wolność w zamian za wstąpienie w jej szeregi. Są w niej także dezercerzy z armii rządowej stacjonującej na południu i bezczynni od czasu ugody w Nairobi w 2005 r. [10] Są członkowie niewielkich plemion hodowców wielbłądów z samej północy Darfuru (na przykład Jalloul, którzy jako jedyni faktycznie są ofiarami zmian klimatycznych w Sahelu). I wreszcie członkowie niektórych niewielkich plemion czarno-afrykańskich (na przykład Gmir), którzy mają nadzieję, że walcząc u boku ludobójców, włączą się do wielkiej arabskiej rodziny, co wydaje im się obietnicą prestiżu społecznego i korzyści ekonomicznych.

Dlaczego jednak Chartum miałby sobie życzyć eksterminacji czarnej populacji w swojej zachodniej prowincji? Z pewnością nie wchodzi tutaj w grę przyczyny religijne, w Darfurze bowiem wszyscy, zarówno kaci, jak i ofiary są sunnickimi muzułmanami.

Przyczyna jest tak naprawdę rasowo-kulturowa. Arabowie są w Sudanie mniejszością, a islam jest tylko ostatnim historycznym przejawem ich dominacji etniczno-religijnej. Tymczasem pokojowe relacje między północą a południem kraju wał się w gruzy. „Południowy” wiceprezydent Salva Kiir Mayardit 9 stycznia br., podczas obchodów drugiej rocznicy układów w Nairobi, ostrzegł prezydenta Baszira, że jeśli sprawy dalej potoczą tym torem, secesja będzie nieunikniona w ciągu najbliższych czterech lat.

Dla arabskich elit w Chartumie sprawy naglą. Trzeba popracować nad linią graniczną Północ-Południe, która zostawia większość ropy po stronie południowej (sprawa jest w toku), przygotować się na ewentualne rozpoczęcie działań zbrojnych (zakup broni), zawiązać silne sojusze międzynarodowe (Chiny są już kupione, a Iran powoli daje się uwieść) i zachować kontrolę nad całym terytorium, tworząc etniczno-regionalny kordon sanitarny: góry Nubi w Kordofanie i Darfur stanowiąby jego część. [11] Plemiona Nubi zostały pokonane w działaniach wojennych w 1992 i w 2002 r. Darfur jednak wydawał się o wiele groźniejszy.

Arabskie elity z Chartumu za wszelką cenę nie chciały dopuścić do powstania szczeliny, przez którą Czarni z zachodu mogliby zjednoczyć się z południem, również czarnym i w dodatku roponośnym! Dlatego strategicznym celem stało się stłumienie buntów w Darfurze wszelkimi środkami. Regularna armia, w której

szeregach było wielu przedstawicieli czarno-afrykańskich grup etnicznych z tego regionu, nie była dostatecznie godna zaufania, by powierzyć jej to zadanie. Stąd zaczęła się rekrutacja do milicji džandżawidów, określanej jako „arabska”, ale tak naprawdę składającej się z grup mniejszościowych lub z marginesu społecznego. To z kolei pozwalało nie dopuścić, by „prawdziwi Arabowie” z Darfuru, to znaczy z różnych plemion Baggara, które stanowią 22-30% populacji regionu, włączyli się z kolei do powstania. Fakt, że Baggara, będący ofiarami dyskryminacji społeczno-regionalnej tak samo jak ich Czarni współziomkowie, znaleźli się u boku elit-zabójców z Chartumu, jest wynikiem manipulowania mitem fałszywie rozumianej, bardziej fantazmatycznej niż rzeczywistej, arabskości.

Krótko mówiąc, zachowanie korzyści z wydobycia ropy możliwe było kosztem wprowadzenia tego morderczego systemu. I ta cena jest właśnie teraz spłacana. W przeciwieństwie do Rwandy, gdzie 800 tysięcy ludzkich istnień zostało unicestwionych w ciągu stu dni, czystka etniczna w Darfurze trwa od czterech lat. A ci, którzy wciąż ośmielają się mówić „nigdy więcej”, dają dowód albo nieświadomości, albo potwornej hipokryzji. Bo oto właśnie, po raz kolejny w historii, okazuje się, że cena ludzkiego życia i śmierci zależy od koloru skóry...

[1] Jean Louis Peninou, „Désolation au Darfour”, *Le Monde diplomatique*, maj 2004.

[2] Tylko jedno z sześciu ugrupowań partyzanckich zgodziło się podpisać pokój w Abudży - to, któremu przewodził Minni Minnawi. Od tego czasu przekształciło się w siłę prorządową, a część członków opuściła jego szeregi.

[3] Bombardowania powtarzały się regularnie w miejscach, w których wysłannicy ONZ i Unii Afrykańskiej spotykali się z partyzantami.

[4] W chwili obecnej nie ma żadnych dowodów na obecność ropy w Darfurze, ponieważ jak na razie żadna firma naftowa nie przeprowadziła tam systematycznych badań.

[5] Ostatnie oskarżenia (uzasadnione) o pedofilię wysuwane wobec niektórych azjatyckich żołnierzy z Błękitnych Hełmów z Misji ONZ w Sudanie (MINUS) zostały natychmiast wykorzystane przez władze z Chartumu.

[6] United States Agency for International Development (Amerykańska Agencja Rozwoju Międzynarodowego).

[7] Anne Claire Poirson, „Où est passé l'argent du pétrole tchadien”, *Le Monde diplomatique*, wrzesień 2005.

[8] Nie wiadomo, czy istnieją złoża ropy w Republice Środkowoafrykańskiej. Z punktu widzenia geologii jest to możliwe – biorąc pod uwagę, że Kotlina Czadu leży blisko granicy z Republiką Środkowoafrykańską.

[9] I faktycznie, awlad al-beled (osiadli Arabowie z doliny Nilu) pogardzają swoimi arabskimi krewniakami koczowniczymi z Darfuru, uważając ich za zacofanych dzikusów.

[10] Porozumienia pokojowe podpisane 9 stycznia 2005 r. w Nairobi między Chartumem a Armią Wyzwolenia Sudanu przewidywały podział władzy i zysków z ropy. Zob. Gérard Prunier „Paix fragile et partielle au Soudan”, Le Monde diplomatique, luty 2005.

[11] W Chartumie mówiono o konieczności obrony przed „niewolnikami” – ten termin jest powszechnie stosowany na określenie Czarnych z Sudanu. W stolicy Sudanu nawet niszczenie biednych przedmieść zamieszkanym przez czarną ludność, przesiedlenia mieszkańców squatów na pustynie (kasha) i konfiskaty ziemi na korzyść „arabskich” developerów nieruchomości, uznawane są za przedsięwzięcia „akceptowalne”, a Bank Światowy widzi w nich „działania na rzecz rozwoju”.